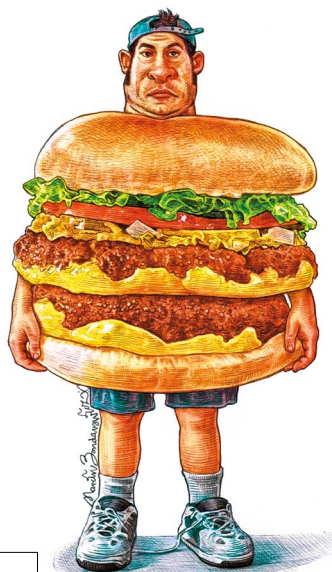




18 Muszkietierowie
ministra Ziobry



29 Siedzą i jedzą



92 Sztuka
sztucznej inteligencji

Tematy tygodnia

- 12 Rozmowa z prof. **Adamem Danielem Rotfeldem**
o nowej wojnie rusko-polskiej
- 15 Sławomir Sierakowski
Co teraz będzie robił Donald Tusk

Polityka

- 18 Anna Dąbrowska **Wilczki Ziobry**
- 21 Mariusz Sepioła **Prof. Popiela**
– szczecińska Krystyna Pawłowicz
- 24 Janusz Lewandowski
OGLĄD I POGLĄD
„Wypierpol” zamiast polexitu

Spółeczeństwo

- 26 Prof. **Arkadiusz Karwacki**
o sfrustrowanej klasie średniej,
przekonanej, że coraz więcej pracuje
i coraz mniej z tego ma
- 29 Juliusz Ćwieluch **Chorzy na otyłość**
- 32 Edyta Gietka **Z życia listonosza**



Rynek

- 36 Adam Grzeszak **Co zdrożeje**
- 39 Joanna Solska **Kłopoty z e-receptą**

Świat

- 42 Michał Lubina MJANMA (BIRMA)
Aung San Suu Kyi: upadła ikona
- 45 Łukasz Wójcik
**Mesut Özil: piłkarz spoza
futbolowego systemu**
- 48 Kaja Puto CZECZENIA
Upiorny show Ramzana Kadyrowa

Historia



- 50 Piotr M. Majewski
**Ambasador Lipski
i jego relacje z Hitlerem**
- 53 Ziemowit Szczerek ESEJ
Kolonializm w polskim wydaniu

Nauka

- 56 Przemysław Ziemacki
Sami prosimy się o powódź?
- 58 Karol Jałochowski
Matematyka wolnego rynku

- 61 NIE/PRAWDA, ŻE
Przegląd naukowych odkryć i przykryć
- 62 Paweł Walewski
Wskreszenie mózgu

Ludzie i style

- 64 Aleksandra Żelazińska
Moda na dwuczłonowe nazwiska
- 68 Agnieszka Sowa **Prawdziwa historia
„nurka z Czarnobyla”**

Kultura

- 74 Reżyser **Paolo Sorrentino** o „Nowym
papieżu” i pomyśle na kolejny sezon
- 78 Piotr Sarzyński
**Dyrektorskie porażki
ministra Glińskiego**
- 80 Rozmowa z aktorką
Aliną Czyżewską o molestowaniu
i mobbingu w teatrze
- 84 Mirosław Pęczak **Jonasz Kofta
– niepraktyczny wrażliwiec**

Na własne oczy

- 92 Edwin Bendyk
Jak nauka tworzy sztukę

Stałe rubryki

- 6 Mleczko i Mizerski
- 7 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 86 Chutnik i Plebanek
- 87 Passent • 88 Hartman
- 89 Tym • 90 Mizerski na bis
- 90 Do i od redakcji
- 98 Polityka i obyczaje



8 dni, 6 398 zł

Rejs marzeń ku brzegom Sycylii

Wybierz się w rejs po Morzu Śródziemnym. Odwiedź dawne prowincje Imperium Romanum oraz Marsylię, Barcelonę, Palma de Mallorca, Palermo i Rzym

Ten klasyczny rejs to doskonały sposób, by podczas jednej podróży zwiedzić wiele słynnych miejsc bez konieczności codziennego pakowania walizek. Nasz pływający po Morzu Śródziemnym hotel każdego dnia przybijać będzie do portu w innym mieście, gdzie można skorzystać z wycieczek fakultatywnych z polskim pilotem (Pakiet 5 wycieczek: 1.198 PLN/osoba).

Cena rejsu obejmuje: przelot, 3 posiłki na statku, wino, piwo i napoje bezalkoholowe do obiadu i kolacji, opłaty portowe i napiwki.

✈ Wylot z Warszawy 26/09 2020



13 dni, 13 998 zł

Namibia okiem Albatrosa

Program wycieczki: **Dzień 1** Wylot do Windhoek w Namibii. **Dzień 2** Przyjazd do Windhoek. Przejazd do Sesriem i powitalna kolacja. **Dzień 3** Wizyta w Parku Narodowym Namib-Naukluft. Wydmę Sossusvlei i kanion Sesriem. **Dzień 4** Poranny spacer w P.N. Namib-Naukluft, Zwrotnik Koziorożca – Swakopmund. **Dzień 5** Swakopmund. Rejs po lagunie Walvis Bay i czas wolny. **Dzień 6** Dzień wolny w Swakopmund. **Dzień 7** Swakopmund – Kamanjab. Z wizytą w wiosce plemienia Himba. **Dzień 8** Przygoda na safari w Parku Narodowym Etosha. **Dzień 9** Safari w Parku Narodowym Etosha. **Dzień 10** Ostatni dzień safari w P.N. Etosha. Pożegnalna kolacja w Otjiwarongo. **Dzień 11** Przejazd z Otjiwarongo do Windhoek. Zwiedzanie miasta. **Dzień 12** Wylot do Warszawy. **Dzień 13** Przyjazd do Warszawy.

✈ Wylot z Warszawy 12/09 2020

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.



8 dni, 3 898 zł

Cypr Północny - dla koneserów

Odprężający pobyt w pełnej atrakcji północnej części Cypru, w fantastycznym 5* hotelu, z 3 interesującymi wycieczkami (z obiadem) wliczonymi w cenę pobytu.

Program wycieczki: **Dzień 1** Przyjazd do Larnaki. Przejazd przez Nikozję do Bafry na Cyprze Północnym. **Dzień 2** Wycieczka do Nikozji. **Dzień 3** Dzień wolny. **Dzień 4** Wycieczka do Famagusty. **Dzień 5** Dzień wolny. **Dzień 6** Wycieczka na północne wybrzeże do Kyrenii i Bellapais. **Dzień 7** Dzień wolny. **Dzień 8** Przejazd autokarem przez Nikozję do Larnaki. Powrót do Polski.

✈ Wylot z Warszawy 23/02 2020



12 dni, 22 998 zł

Ekwador- przygoda w Amazonii i rejs katamaranem na Galapagos

Prawdziwa wyprawa do amazońskiej dżungli i w Andy, zwiedzanie Quito i 5-dniowy rejs ekskluzywnym jachtem po Galapagos. Podczas tej wycieczki będziemy zarówno spacerować uliczkami starego miasta Quito, wpisanego na listę UNESCO, jak i odbywać piesze wycieczki po amazońskiej puszczy oraz odwiedzać indiańskie wioski. W Otawalo (Andy) pójdziemy na lokalny targ i spotkamy rdzenne plemiona andyjskich gór. Podczas rejsu po Galapagos odwiedzimy wyspy na których można spotkać olbrzymie żółwie stoniowe, uchatki, legwany, pingwiny równikowe, zięby Darwina, głuptaki i wiele innych endemicznych gatunków zwierząt i ptaków.

✈ Wyloty z Warszawy 19/02, 28/09 i 10/10 2020

Warszawa, ul. Marszałkowska 74
Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kup książkę



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Arcybiskup zostawia ślad

Jeśli wierzyć arcybiskupowi Jędraszewskiemu, najgorsza zaraza, obok marksizmu, dzenderyzmu i elgiebetyzmu, to ekologizm, którego celem jest odwrócenie naszej uwagi od Boga w Niebie i skierowanie jej na problemy Ziemi. O kłamliwości ekologizmu świadczy to, że jest on niezgodny z Biblią, a gwałtowne zjawiska pogodowe, takie jak trąby powietrzne, tłumaczy ocieplaniem się klimatu z winy człowieka, chociaż z Biblii nie od dziś wiadomo, że trąby, powódzie i inne plagi sprowadza na nas Bóg, którego wyroki są niezbadane.

Niektórzy zwolennicy abp. Jędraszewskiego uważają, że ekologizm u ludzi bierze się z niejedzenia mięsa, co prowadzi do osłabienia wiary i wzmożenia stanów lękowych będących wynikiem obawy o przyszłość naszej planety. W ekologizmie trudno odnaleźć ślady obecności Boga, zamiast tego wszędzie są ślady węglowe, które powstają, gdy tylko zrobi się zakupy w galerii handlowej albo polecą samolotem na wakacje. Zdaniem wyznawców ekologizmu ślad węglowy ciągnie się nawet za abp. Jędraszewskim, co moim zdaniem jest skandalem i próbą oczerniania tego zasłużonego hierarchy. Takie brudne insynuacje uważam za bezpardonowy atak na Kościół, zwłaszcza że wyznawcy ekologizmu nie przedstawili na razie dowodów na to, że jakiegokolwiek ślady węglowe prowadzą do abp.



Jędraszewskiego czy innego przedstawiciela episkopatu. Nie do przyjęcia w ekologizmie jest to, że jest on atakiem na tradycyjny styl życia oparty na zabijaniu zwierząt, spożywaniu ich mięsa i czynieniu sobie Ziemi poddaną. Jak katolik ma przestrzegać zalecanego przez Kościół postu, jeśli ekologizm domaga się, żeby pościł on cały czas? Ekologizmowi zarzuca się, że stał się nową religią, czemu abp Jędraszewski się sprzeciwia, bo uważa, że żadnych nowych religii nam nie trzeba – wystarczy wyznawać tę, którą on wyznaje i która jest zgodna z Biblią. Niepokoi go również, że ekologizm narzucają nam osoby nieletnie, być może zaburzone psychicznie. Fakt, że papież Franciszek spotyka się z tymi osobami, dziękując im za wysiłki w obronie klimatu, niestety nie świadczy o nim najlepiej.

Nic dziwnego, że dla hierarchów takich jak abp Jędraszewski ten papież nie jest żadnym wielkim autorytetem. Słuchać opinie, że jako Argentyńczyk w ogóle się na papieża nie nadaje i że najlepiej, aby w ramach rechryztyzacji papieżem znowu został Polak, któremu bliskie będą chrześcijańskie wartości, a nie nowinki, takie jak ekologizm, tolerancja i inne zarazy. Oczywiście nie musi to być zaraz abp Jędraszewski, chociaż zgadzam się, że jako osoba szalenie na zarazy wyczulona świetnie dałby sobie radę.

Plan 30-letni



Jerzy Baczynski

Mija właśnie jedna z najważniejszych rocznic w historii wolnej Polski. Obchody były skromne, właściwie towarzyskie; trochę okolicznościowych publikacji, żadnej uroczystości z udziałem władz państwowych; ba, nawet partie polityczne, we wszystkich sprawach podzielone, dość zgodnie ten jubileusz zignorowały. O czym mówię? Równo przed 30 laty, w styczniu 1990 r., wszedł w życie pakiet ustaw zmieniających ustroj gospodarczy i społeczny Polski, nazwany planem Balcerowicza. Rewolucję firmował premier Tadeusz Mazowiecki, ale, jak głosi legenda, nawet on do końca nie wiedział, co przygotowuje i w nadzwyczajnym trybie przeprowadza przez Sejm ekipa gospodarcza rządu kierowana przez ministra finansów.

Ta historia była już rzecz jasna opowiadana, w czym – od razu przyznaję – mam także własny udział jako współautor książki „Leszek Balcerowicz. 800 dni” – pierwszej, spisanej tuż po ustąpieniu Balcerowicza z rządu w 1992 r., jego osobistej relacji z tamtych, dwóch lat, które wstrząsnęły Polską. Teraz, kiedy po latach przejrzałem tę książkę, miałem wrażenie, jakbym rozgarniając popiół, złapał rozżarzone węgle – tyle że ówczesne emocje, nastroje, awantury i spory, paniczne lęki i nadzieje są już niemożliwe do przekazania ludziom poniżej pięćdziesiątki. I pewnie niewiele ich obchodzi. Jak wszystko w historii, pozostaną doświadczeniem i przeżyciem pokoleniowym. Jednak, w żadnym przypadku, nie powinniśmy już dziś zamykać sporu o sens i przebieg polskiej transformacji, bo tam tkwią korzenie obecnych podziałów politycznych. Wybierając, nawet nie do końca świadomie, jakąś wersję przeszłości, możemy przy okazji wybrać sobie przyszłość. U podstaw oferty ustrojowej PiS leży bowiem delegitymizacja całej niePiSowskiej historii III RP, dla której plan Balcerowicza był aktem założycielskim.

Jest psychologicznym i politycznym fenomenem, jak w sumie łątwo udało się Jarosławowi Kaczyńskiemu zmacić pamięć świadkom i uczestnikom historii. Dziś nawet wielomilionowa klasa średnia, ludzie, którzy po upadku PRL, dzięki pracy, przedsiębiorczości, szczęściu, ale też warunkom stworzonym przez transformację, odnieśli życiowe sukcesy, publicznie przymuszani są do wstydu, przezywani elitami, oskarżani o pogardę dla ludu (polecam rozmowę z prof. Arkadiuszem Karwackim na s. 26).

Jedno jest wytlumaczenie: właściwie nikt Kaczyńskiemu nie przeszkadzał zamieniać białe w czarne. Kolejne rządy III RP na ogół odpuszczały politykę i edukację historyczną, nie budowały żadnego mitu państwowego, nie kreowały społecznej ideologii. Najwięcej czasu na ułożenie narracji „o pochodzeniu i narodzinach III RP” miał Donald Tusk, ale trafiło akurat na pragmatyka władzy, ostentacyjnie odcinającego się od „romantycznych wizji”, patriotycznego patosu, narodowego mitotwórstwa. A Kaczyński uparcie przez ćwierć wieku gromadził wokół siebie, kolekcjonował, spinał w opowieści o układach i spiskach, wszelkie rzeczywiste i wyobrażone krzywdy, bóle i błędy transformacji. Plan Balcerowicza ciemniał i czerniał: już nie był otwartą przez Solidarność drogą do wolności gospodarczej i rozwoju, ale bramą do złodziejstwa i patologii. Paradoksalnie, Kaczyński, a potem PiS stopniowo przejęli całą antybalcerowiczowską retorykę z początku lat 90., wtedy przypisywaną odsuniętym od władzy komunistom. Że Balcerowicz zniszczył „dorobek

pokoleń, które zbudowały potężny przemysł”, że działał pod dyktando międzynarodowej finansjery, że doprowadził do masowego bezrobocia, degradacji regionów, wyprzedaży majątku narodowego, upadku PGR. Dziś tę argumentację powtarza razem z PiS tzw. młoda lewica.

Trudno z tą wspólną prawicowo-lewicową interpretacją historii sprzed 30 lat polemizować, ponieważ jest ona doskonale ahistoryczna. Wszystko zależy od odpowiedzi na pytanie, czy społeczne koszty transformacji zapisujemy na rachunek Balcerowicza, czy jednak na rachunek PRL i pół wieku realnego (a właściwie coraz bardziej absurda) socjalizmu. Żałuję, że nie można zmienić w lekturę obowiązkową opublikowanej w ubiegłym roku książki naszej redakcyjnej koleżanki Joanny Solskiej pt. „80-te. Jak naprawdę żyliśmy w ostatniej dekadzie PRL”. Tam jest wszystko: idiotyzmy systemu kartkowego i urojonych kursów walut, praktyki handlu wymiennego i turystyki szmuglerskiej, opisy życia za 20 dol. miesięcznie i najdziwniejszych, naprawdę imponujących, „barejowskich” strategii przetrwania. Jerzy Koźmiński (wtedy szef sztabu Balcerowicza) przypominał ostatnio, że kiedy nowa ekipa weszła do rządowych gmachów, miała wrażenie, że wszystko dookoła płonie. Inflacja wynosiła kilkadziesiąt procent miesięcznie, sklepy wyczyszczone z towarów, kraj już nie spłacał zobowiązań, dramatycznie brakowało dolarów, choćby na import leków, rozpadł się budżet. A jednocześnie w ciągu paru miesięcy trzeba było przygotować plan reform, nie mając żadnych wzorców, precedensów, nawet rzetelnej statystyki czy systemu podatkowego. Mityczny „dyktat Zachodu” był już późniejszym wymysłem – nikt nie wiedział, co Polsce poradzić.

Ci, którzy powtarzają do dziś, że Balcerowicz był wtedy skrajnym liberałem, przypisują mu późniejsze, także pozapolityczne, eksperckie opinie i przekonania. W sytuacji wymuszonego odchodzenia od rozpadającej się gospodarki państwowej, „liberalizacja” była bardziej wyborem technicznym niż ideologicznym. Zresztą na temat planu Balcerowicza naprodukowano całą stertę mitów. Podobno na siłę prywatyzował przedsiębiorstwa państwowe – prawda jest taka, że chciał, ale nie było chętnych, poza (zwalczanymi, i to ostro – wbrew kolejnemu mitowi) tzw. spółkami nomenklaturowymi. Nieprawda, że brutalnie wyhamował inflację – schodzenie do 10 proc. zajęło aż 12 lat. Mówi się, że mógł dłużej utrzymać ochronne cła importowe, aby ocalić niektóre fabryki – ale to wymagałoby zamknięcia granic, zablokowania indywidualnego importu, sprzyjałoby inflacji, przemytowi, przestępczości. I tak by można punkt po punkcie. Pytanie, czy istniała jakaś inna, „trzecia droga”, towarzyszy planowi Balcerowicza od początku. Może istniała – lecz do tej pory nikt jej nie wskazał, pojawiają się albo ogólniki, albo szczegóły. Fakty i statystyki są zaś takie, że Polska rozwijała się najszybciej ze wszystkich krajów pokomunistycznych, że tylko w Polsce od 1992 r. nie było ani recesji, ani kryzysu bankowego, że nie wykształciła się oligarchia, że spłaciliśmy długi, że eksport wzrósł kilkunastokrotnie, że powstał „z niczego” prężny sektor prywatnych firm, tych „małych i średnich przedsiębiorstw”, tak hołubionych dzisiaj w deklaracjach przez obóje władzy. Polska transformacja jest na świecie synonimem wielkiego społecznego sukcesu, od którego, paradoksalnie, z krzykiem odcinają się wszystkie polskie siły polityczne.

Jasne, można i trzeba ten sukces relatywizować, pokazywać jego (do uniknięcia lub nie) koszty, błędy i zaniechania polityki gospodarczej i społecznej w 30-lecie. Kto chce, może też do woli krytykować dzisiejszego Balcerowicza, że jego liberalna ortodoksja nie pasuje do współczesnych wyzwań, rewizji starych wzorców i miar rozwoju. Ale, odświeżając swoją pamięć i wspomnienia, myślę z podziwem o nim i o całej jego ekipie, zdeterminowanej, radykalnie propaństwowej; o „niedzisiejszych patriotach” w skromnym, odpowiedzialnym, zapracowanym wydaniu. Nie dorobiło się fortun, tablic pamiątkowych, powszechnego społecznego uznania. Sam Leszek Balcerowicz od 30 lat jest atakowany, postponowany. Więc tylko tyle: chciałem się nisko uklonić i podziękować, Panie Profesorze.

111
mln zł

wydała w 2018 r. Polska Fundacja Narodowa (prawie sześć razy więcej niż w 2017 r.). PFN powstała pod koniec 2016 r., aby „pokazywać Polskę piękną, przyjazną i ambitną”.

Zrzuca się na nią 16 kontrolowanych przez PiS państwowych spółek (m.in. Orlen, PKO BP, Azoty, PKP), które w ciągu dekady mają przełać na konto fundacji łącznie 633 mln zł. W opublikowanym w noc sylwestrową raporcie ujawniono, że 33,4 mln zł poszło na „promocję RP za granicą, w tym ochrona jej wizerunku, a także przeciwdziałanie rozpowszechnianiu w kraju i za granicą informacji i publikacji o nieprawdziwych treściach historycznych, krzywdzących lub zniesławiających Rzeczpospolitą Polską i Naród Polski – Reputacja”. O co konkretnie chodzi, nie wiadomo. Podobnie jak w przypadku kolejnej kosztownej inicjatywy, czyli projektu „Polska w Ameryce”, za 23 mln zł.

5,5 mln zł pochłonęła wyprawa polskiego jachtu do stu portów świata – nie wiadomo, do ilu dołynął, pewne jest, że po siedmiu miesiącach cumowania w amerykańskim porcie (z powodu złamanego masztu) jacht w listopadzie 2019 r. dotarł do Europy. 12 mln zł poszło na program „100 x 100”, czyli zaproszenia do Polski stu „sławnych osób” (pierwszy gościł u nas były kierowca wyścigowy Mika Häkkinen); 9 mln zł – na dofinansowanie młodych sportowców; 2,56 mln zł – na spot z Melem Gibsonem z okazji stulecia niepodległości Polski. 580 tys. zł kosztowało „przygotowanie działań dotyczących projektów filmowych” (jakich, też nie wiadomo). 1,4 mln zł fundacja przeznaczyła zaś na „kampanię informacyjną dotyczącą zmian nazw ulic – Dekomunizacja”.

Choć premier Morawiecki nie był zwolennikiem działalności PFN, osoba z jego bliskiego otoczenia broni tych wydatków: – *To był rok stulecia odzyskania niepodległości i PFN nie oszczędzała na promocji. Teraz jest już inny zarząd i sprawozdanie za 2019 r. powinno przynieść informacje o bardziej efektywnym wydawaniu państwowych pieniędzy.* W lipcu prezesem PFN został Marcin Zarzeccki, były dyrektor w resorcie kultury, do zarządu wszedł też Michał Góras, były szef gabinetu politycznego Piotra Glińskiego. To minister kultury sprawuje bezpośredni nadzór nad PFN.

Tymczasem, jak dowiedziała się POLITYKA, 3 stycznia premier podpisał zarządzenie o powołaniu swojego pełnomocnika ds. promocji polskiej marki. Ma nim zostać jeden z zastępców ministra rozwoju Jadwigi Emilewicz. To efekt grudniowego spotkania Morawieckiego z przedstawicielami największych polskich firm. – *Oczekujemy od nas, że będziemy wspierać i promować za granicą to, co ma białą-czerwoną metkę, że zadbamy o rodzinne firmy* – mówi osoba z KPRM. Dodaje, że PFN dalej będzie się zajmowała promocją wartości. (DĄB.)



Wice szefem?

Grzegorz Schetyna nie będzie ubiegał się o szefostwo w PO. Zamiast niego do walki w wewnętrzpartyjnych wyborach (25 stycznia) stanie **Tomasz Siemoniak**, były minister obrony narodowej, wicepremier w rządzie Ewy Kopacz i dotychczasowy zastępca przewodniczącego Platformy. Jego najpoważniejszym konkurentem będzie kolejny z wiceszefów PO, przewodniczący Klubu Koalicji Obywatelskiej **Borys Budka**. W wyborach wystartują również: Bartosz Arłukowicz, Bogdan Zdrojewski, Joanna Mucha oraz Bartłomiej Sienkiewicz, ale – jak słyszeć w partii – to kandydaci bez większych szans. Spora liczba pretendentów najpewniej jednak poskutkuje drugą turą (8 lutego).

Sienkiewiczowi – jak twierdzą jego partyjni koledzy – zależy przede wszystkim na umocnieniu pozycji w regionie; nie namiesza w partii, bo jest „patriotą Platformy”. Mucha to „solistka”, która „chce się pokazać”. Podobnie Zdrojewski, który „większe poparcie ma poza partią niż w jej wnętrzu”, a zgłosił się przede wszystkim w kontrze do Schetyny, z którym od lat jest skonfliktowany. Natomiast Arłukowicz najpewniej „przehandluje swoje poparcie” i wycofa się na ostatniej prostej, bo jednak z mandatu (i zarobków) europosła nie tak prosto zrezygnować, a pogodzić z obowiązkami szefa partii – nie sposób.

Decyzja Schetyny jest wynikiem prostej arytmetyki. Przez ostatnie tygodnie nie udało mu się odbudować poparcia w partii; wśród członków PO dominuje przekonanie, że „potrzebna jest zmiana”, a wizerunek obecnego przewodniczącego ciąży całemu ugrupowaniu. Dlatego zamiast iść na przegraną, swoim zwyczajem Schetyna postanowił „wywrócić stolik” i w ostatnim dniu zgłaszania kandydatów namaszczył Siemoniaka – polityka, który cztery lata temu zamierzał ubiegać się o szefostwo w Platformie, ale na ostatniej prostej wycofał się i przekazał poparcie Schetynie.

– *Start Grzegorza byłby pewną wygraną Borysa, wystarczyłoby tylko, żeby powtarzał, że nie jest Schetyną. Teraz zaś Budka będzie musiał się wysilić, bo kampania zogniskuje się wokół tego, jaką Platformę chce budować* – mówi jeden z członków zarządu PO.

– *Schetyna zszedł z pierwszej linii tak, jak wszyscy chcieli, więc teraz trzeba zacząć myśleć, kto bardziej nadaje się na szefa i kto jest w stanie poprowadzić partię do zwycięstw.* Nasz rozmówca dodaje, że Budce ciąży opinia człowieka, który lubi brylować w mediach, uprawiać politykę przed stolikiem dziennikarskim, ale niekoniecznie ciężko pracować („trochę jak Petru”), co najlepiej oddaje słynne zdjęcie z telewizyjnego wywiadu w krótkich spodniach i gorze od garnituru. Z kolei Siemoniak jako były szef MON „ma siłę i wagę”, ale też tylko trzy tygodnie na wewnętrzną kampanię i przekonanie do siebie członków PO.

Wycofanie się Schetyny przyjęto ze zrozumieniem. – *Przegrana Grzegorza wygenerowałaby duży problem wewnętrzny. Ale podobnie jego wygrana. Bo część kolegów myślałaby o jakichś rokoszach – słysząc w Platformie. Zarazem wybór Budki lub Siemoniaka nie będzie oznaczał jakiejś diametralnej zmiany linii partyjnej, raczej kontynuację, bo obaj politycy byli przecież dotychczas zastępcami Schetyny. Nie zepchną więc byłego przewodniczącego na margines życia partyjnego, co pozwoli uniknąć wewnętrznych podziałów i problemów z zagospodarowaniem ambicji byłego szefa (jak to było z Ewą Kopacz, która zanim wylądowała w europarlamencie, chętnie występowała w roli recenzentki polityki swojego następcy).*

Wielu platformersów podkreśla teraz załugi Schetyny: zintegrowanie partii, stworzenie wyborczych koalicji, utrzymanie Senatu, ale zarazem powtarza, że jeśli Platforma ma wygrywać, potrzebny jest nowy lider, nowe otwarcie i odświeżenie wizerunku formacji. Na tej nucie całkiem sprawnie grał w ostatnim czasie 41-latek Budka. Wejście do gry Siemoniaka komplikuje jego sytuację. Ale Budka nie odpuszcza (urządził konferencję godzinę przed oficjalnym ogłoszeniem startu Siemoniaka i raz jeszcze zapowiedział, że będzie ubiegał się o szefostwo partii; niespodziewanie pojawił się na spotkaniu Siemoniaka i Schetyny w Częstochowie).

Ktokolwiek obejmie przywództwo w PO, od razu będzie musiał wskoczyć na głęboką wodę i zorganizować kampanię przed majowymi wyborami prezydenckimi. A ewentualna przegrana nie będzie już „winą Schetyny”, ale zapisze się na konto nowego szefa. (MLV)



Ciężar gatunkowy

Andrzej Duda wkuł się w łaski i związał ze sobą tych obywateli Polski powiatowej, którzy nie mają politycznych sympatii albo mają je bardzo letnie. To zapewne ok. 800 tys. głosów.

To, że Andrzej Duda będzie kandydatem PiS na prezydenta, jest oczywistą oczywistością, a to, że formalnie tego nie zadeklarował, jest politycznie racjonalne. Wyjąwszy odosobniony przypadek wyborów w 1995 r. (kiedy to prezydent Lech Wałęsa, który na wiosnę miał sondażowo ok. 10 proc. poparcia, a później podczas letnio-jesiennej kampanii wyborczej zyskiwał), urzędujący prezydenci w kampanii wyborczej tracili. W 2000 r. Aleksander Kwaśniewski zaczynał z sondażowym poparciem 66 proc., a w I turze wylądował na zwycięskich 53 proc. W 2015 r. Bronisław Komorowski zaczynał jeszcze lepiej – z 69-proc. poparciem – by w pierwszej turze wylądować na niecałych 34 proc., przy czym załamanie notowań sondażowych nastąpiło w lutym 2015 r. (tego miesiąca marszałek Sejmu wydał postanowienie o terminie wyborów). Mechanizm jest tu prosty. Do czasu formalnego ogłoszenia wyborów urzędujący prezydent jest bardziej głową państwa, a mniej kandydatem. Gdy ogłasza się datę wyborów, tarcie kampanii wyborczej zdziera z głowy państwa folijkę instytucjonalnej charyzmy.

Dlatego nie załamujemy rąk z powodu przedłużających się ciężarów prezydenckich wśród partii opozycyjnych. Obecnie domyka się stawka wyborów; swoich kandydatów mają Koalicja Obywatelska i PSL, na Lewicy trwają bóle porodowe – a kto zostanie zrodzony, nie ma specjalnego znaczenia dla rezultatu wyborów – pojawił się też obywatelski i bezpartyjny Szymon Hołownia. Sondaże poparcia w I turze pokazują, że kandydaci uzyskują wyniki z grubsza zbliżone do poparcia ich partii/koalicji w wyborach parlamentarnych. Jeśli zatem o I turę chodzi, to nie ma żadnych niespodzianek. Inaczej jest z turą drugą, w której Andrzej Duda w kolejnych sondażach uzyskuje przewagę 8–10 pkt proc. (pięćdziesiąt parę procent do czterdziestu paru) nad Małgorzatą Kidawą-Błońską, którą większość pracowników sondażowych obsadza w roli jego konkurentki.

Tych wyników nie należy mechanicznie porównywać z sondażowymi przewagami prezydenta Komorowskiego z I kwartału 2015 r. (zwycięstwo nad Dudą stosunkiem 60–55 proc. do 45–37 proc.), a to dlatego, że pięć lat temu wybory prezydenckie otwierały cykl wyborczy, a obecnie go zamykają. Ostatnim akordem przed zbliżającą się elekcją były wybory parlamentarne, w których systemowa opozycja wobec PiS (KO, PSL, Lewica) uzyskała około miliona głosów więcej. A według sondażowych wyników Andrzej Duda ma, stosując analogię z zapisem brydżowym, 1–1,5 mln głosów nadrobki w stosunku do kontraktu, który jest w stanie wylicytować i ugrać jego partia. Gdyby było inaczej, to wyniki sondażowe II tury byłyby remisowe z ewentualnym lekkim wskazaniem w jedną lub drugą stronę. Oznacza to, że ok. 10 proc. wyborców, którzy głosowali na opozycję, w sondażach deklaruje, że w II turze wybierali prezydenckich zagłosuje na kandydata popieranego przez PiS. Skąd to się bierze?

Odwołajmy się do pojęcia obcego socjologom polityki, ale znanego tym, którzy czują materię polityczną koniuszkami palców: politycznego ciężaru gatunkowego. Andrzej Duda jako osobowość polityczna żadnego własnego ciężaru gatunkowego nie miał i go w trakcie kadencji nie uzyskał. Jest posłusznym narzędziem prezesa swojej partii, ale jeśli zdarzało mu się, nie bez sukcesu, wierzgnąć, to tylko po to, by osiągnąć umiarkowany cel polityczny: by Jarosław Kaczyński przestał go publicznie i upokarzająco lekceważyć i zaczął okazywać jawny szacunek. Celu tego dopiął i tym się zadowolili. Ale widły służące do przerzucania snopów na gumnie pozostają narzędziem, niezależnie od tego, czy się ich stylisko pieszczotliwie gładzi, czy nie bez pogardy na nie popluwa.

Oprócz własnego ciężaru gatunkowego w polityce spotykamy dociążenie przez czynniki zewnętrzne, trochę jak pasy z ołowiem zakładane przez nurków. Andrzeja Dudę niewątpliwie dociąża jego partia, która poważny ciężar gatunkowy ma – na te czterdzieści parę procent z sondażowej I tury. Na sondażowe wyniki II tury wpływ mają dwa czynniki, z których jeden będzie malejący, ale drugi – stały. Czynnikiem malejącym w trakcie kampanii wyborczej będzie instytucjonalna charyzma urzędu. Czynnikiem stałym jest i będzie bardzo silne prowincjonalne zakorzenienie Andrzeja Dudy. Cały kalendarz jego prezydentury został podporządkowany wizytom powiatowym, a z punktu widzenia tej Polski Andrzej Duda jawi się jako powiatokrąże, który pojawiał się tam, gdzie nigdy żaden z prezydentów III RP nie zawitał: dostrzegł, uznał za ważne, okazał szacunek. W ten sposób wkuł się w łaski i związał ze sobą tych obywateli Polski powiatowej, którzy nie mają politycznych sympatii albo mają je bardzo letnie. To zapewne ok. 800 tys. głosów.

Wkrążeniu po powiatach żaden z konkurentów Andrzejowi Dudzie nie dorówna, ale ważne jest też to, by przynajmniej w wizji własnej prezydentury i funkcjonowania wspólnoty politycznej znalazło się miejsce dla równouprawnienia oraz szacunku dla Polski powiatowej, nie mniejszego niż dla Polski metropolitalnej. Problem w tym, że o koncepcji prezydentury i przewodzenia wspólnocie politycznej wszyscy konkurenci Dudy milczą jak zakłeci, uznając zapewne, że po co mają coś mówić, skoro nie zaczęła się formalnie kampania wyborcza. Przeczytali w Księdze Koheleta, że jest czas milczenia i czas mówienia, ale nie doczytali, że jest też czas sadzenia i zbioru tego, co zasadzono.

Trzymiesięczna kampania wyborcza to czas zbiorów. Sadzonek opozycyjnych dotąd nie zauważyłem, natomiast trudno nie dostrzec deptania przez partie opozycyjne tego, co samo wzrasta. 19 grudnia, dzień po manifestacjach w obronie niezależnych sądów, opozycja mogła w Sejmie zadać PiS bolesną porażkę prestiżową i opóźnić prace nad tzw. ustawą kagańcową. Nie zrobiła tego, bo z powodu absencji szabel zabrakło. „Gdybym był Joanną Szczepkowską, to bym pewno powiedział, że 19 grudnia 2019 r. skończyła się w Polsce opozycja” – stwierdził redaktor POLITYKI Edwin Bendyk. Opozycja się na pewno nie skończyła, ale fatalnie weszła w kampanię prezydencką. Jak dotąd to partie nadają opozycyjnym kandydatom ciężar gatunkowy. 19 grudnia nadały im nieznośną lekkość.



Śmierć wiceszacha

Zabijając gen. Sulejmaniego, Amerykanie dają się Iranowi wciągnąć w bliskowschodnią grę, której nie mogą wygrać.

W piątek nad ranem Amerykanie zabili drugą najważniejszą osobę irańskiego reżimu gen. Kasima Sulejmaniego. W dronowym ataku na bagdadzkie lotnisko zginął też lider koalicji proirańskich bojówek w Iraku. To potężna eskalacja konfliktu między Waszyngtonem i Teheranem, i tak już zaognionego w ostatnich dniach po ataku proirańskich demonstrantów na ambasadę USA w Bagdadzie. Według ekspertów nie należy się jednak spodziewać natychmiastowej reakcji Iranu. „Na pewno do niej dojdzie, ale z pierwszych wypowiedzi irańskich oficerów wynika, że śmierć Sulejmaniego posłuży teraz do mobilizacji poparcia dla reżimu, który miał ostatnio spore problemy” – napisała na gorąco znana iranistka Suzanne Maloney.

62-letni Sulejmani był dowódcą Brygad Al-Kuds, czyli zagranicznego wydziału irańskich Strażników Rewolucji. Ale jego

realna władza była znacznie większa – de facto prowadził irańską politykę zagraniczną i wojskową na Bliskim Wschodzie, szczególnie w Iraku, Syrii i Libanie. Był bezpośrednim nadzorcą libańskiego Hezbollahu finansowanego z irańskich pieniędzy. Według powszechnej opinii to on w 2015 r. uratował reżim Baszara Asada, osobiście dowodząc obroną Damasku. Zaraz później w Iraku podporządkowane mu bojówki zatrzymały marsz tzw. Państwa Islamskiego.

Ostatnie miesiące spędził w Iraku, bo Teheran obawiał się rosnących od października antyirańskich protestów (tzw. rewolucja tuk-tuków). W samym Iranie był bohaterem, „żyjącym męczeństwem”, jak nazywali go zwolennicy. Jako ten, który w regionie przeciwstawia się Amerykanom, budził sympatię również

wśród Irańczyków niepopierających reżimu. Śmierć Sulejmaniego, którego Irańczycy nazywali też wiceszachem, jako że odpowiadał tylko przed najwyższym przywódcą Alim Chameneim, może więc wywołać ogólnokrajową nacjonalistyczną mobilizację, na czym z pewnością skorzystają władze, osłabione ostatnio przez kryzys gospodarczy.

Sulejmani był kwintesencją problemu, jaki Amerykanie mają z Iranem na Bliskim Wschodzie. Sami od 2001 r. prowadzili w regionie politykę neoimperialną – nie w sensie motywacji, ale taktyki. Aby zmieniać region na własną modłę, wysyłali po prostu kolejne dywizje, które miały okupować, obalać rządy i narzucać demokrację. Irańczycy natomiast koncentrują się na *soft power* i mozolnie budują swoje wpływy, wykorzystując szyitów rozsiadanych po całym regionie i tworząc wizerunek obrońców uciemiężonych. Przy czym, gdy tylko udawało im się rządzić, okazywali się nieskuteczni. „Jedynie, co potrafia, to stawiać opór. Wystarczy przestać naciskać i przegrywają” – tak regionalną strategię Irańczyków, uosabianą właśnie przez Sulejmaniego, podsumował kilka lat temu pisarz Hooman Majd, znany w Polsce choćby z książki „Demokracja ajatollahów”.

Tyle że Amerykanie przez ostatnich 20 lat, z krótką przerwą za Baracka Obamę, nie przestawali naciskać – jak wiadać, raczej z marnym efektem. Czasy Donalda Trumpa to już przykład politycznej schizofrenii. Prezydent USA z jednej strony jest odruchowym izolacjonistą. Z drugiej, jak napisał po zabójstwie Sulejmaniego, „Ameryka nie odpuści nikomu” i zapewne liczy, że eskalacja konfliktu z Teheranem odciągnie uwagę od procedury impeachmentu. Na to liczą również Irańczycy.

ŁUKASZ WÓJCİK

Uciekinier przecina swój ślad

W Japonii szok: **Carlos Ghosn**, kiedyś ludowy bohater, który uratował od bankructwa Nissana, później najsłynniejszy aresztant, kiedy wychodził na jaw jego kolejne machlojki finansowe oraz oszustwa podatkowe, dał nogę i na sylwestra objawił się... w Bejrucie. W kwietniu, wpłacisz kaucję 1,5 mld jenów, opuścił areszt, ale pod surowymi warunkami. Zabrano mu trzy paszporty, pilnowały go kamery, i nawet dodatkowo ochrona Nissana, miał praktycznie zakaz kontaktów, który dotyczył także odwiedzin żony – i cztery procesy na głowie, które miały ruszyć w tym roku. Ostatnio japońska prokuratura zdobyła nowy materiał dowodowy z rajów podatkowych, co miało mocno zaniepokoić Ghosna. Podobno uciekł



w pudle na instrumenty (wcześniej, kiedy opuścił areszt, aby zmylić paparazzich, przebrał się za budowlanica) i prywatnym samolotem odleciał z Osaki do Stambułu (japońskie służby podały, że nikt o tym nazwisku oficjalnie nie opuścił

kraju). Tam czekała już żona – i razem odlecieli do Bejrutu. Libańskie władze podały, że przekroczył granicę z francuskim paszportem (prawdopodobnie, co zmyliło Japończyków, miał podwójny dokument, jak wielu biznesmenów, którzy robią interesy i z państwami arabskimi, i z Izraelem). Ma zresztą obywatelstwo Libanu, jak i Brazylii oraz Francji, gdzie stał na czele Renault, w sojuszu z Nissanem i Mitsubishi. Francuzi szybko ogłosili, że gdyby się tu pojawił, nie zostałby wydany, bo nie wydaje się własnych obywateli, a Japonii

z Libanem nie wiąże umowa ekstradycyjna. Jest już za to list gończy Interpolu.

Ghosn jest synem libańskich imigrantów, ma też w Libanie wielu wpływowych przyjaciół i sam jest tam niezwykle popularny. Powstał nawet komitet poparcia domagający się jego uwolnienia. Wcześniej Ghosn trafił na znaczki pocztowe, był przymierzany do prezydentury kraju, sporo inwestował, w nieruchomości i winnice, ma też luksusową rezydencję, która również miała być przedmiotem procesu. „Nie uciekłem przed sprawiedliwością” – ogłosił, trzymając się wersji ze śledztwa, czyli własnej niewinności i opresyjnego japońskiego systemu prawnego, który dokonał zamachu na jego wolność, z pogwałceniem praw. Ta historia będzie miała pewnie jeszcze wiele odsłon (i filmową wersję na Netflixie). Na razie Ghosn znów pije szampana i snuje plany, co zrobić, aby ta chwila trwała wiecznie.

Będzie gorzej

Australia zмага się z największymi pożarami buszu i lasów eukaliptusowych w swojej historii.

Sezon na pożary w południowo-wschodniej ćwiartce kraju zaczął się kilkanaście tygodni wcześniej niż zwykle. Zjawisko pogodowe, występujące okresowo nad Oceanem Indyjskim, ale tym razem wyjątkowo silnie, przedłuża trwającą od trzech lat suszę, śrubię rekordy przeciętnych temperatur w dzień i w nocy oraz wzmacnia wiatry spychające ogień ku najbardziej zamieszkanym obszarom stanów Nowa Południowa Walia i Wiktoria. Pożary już wytworzyły nowy mikroklimat, przyczyniając się m.in. do powstawania bezdeszczowych burz, których wyładowania podpalają wyschnięte na wiór drzewa i trawy, także na wilgotnych zazwyczaj bagnach. A będzie gorzej. „To nie pożar buszu, ale bomba atomowa”, mówił australijskiemu radiu publicznemu ABC minister transportu Nowej Południowej Walii Andrew Constance. Pełnia australijskiego lata przypada na styczeń i luty, wtedy upały są największe.

Dotąd spłonął obszar większy od terytorium Szwajcarii. Między wrześniem a pierwszym tygodniem stycznia zginęło 25 osób, sześć uznano za zaginione, zniszczonych zostało 2,5 tys. budynków, w tym 1,3 tys. domów mieszkalnych. Choć akcja gaśnicza prowadzona jest w jednym z najbogatszych, najlepiej zorganizowanych i usprzętowionych krajów świata, to sprowadza się nie tyle do dławienia ognia po lasach, ile przede wszystkim do ewakuacji. Wspiera ją wojsko na skalę niewidzianą od drugiej wojny światowej. Razem z mieszkańcami ewakuowane są zwierzęta towarzyszące i gospodarskie, zwierzęta dzikie



zdane są na siebie. Te bardziej ruchliwe mogą próbować uciec, ale jeszcze przed końcem 2019 r. było wiadomo, że ucierpiały setki milionów ssaków, gadów, płazów i ryb w rzekach, w wielu przypadkach przedstawiciele gatunków niewystępujących poza Australią. Do świąt zginęło prawdopodobnie m.in. 8,5 tys. koali, jedna trzecia całej populacji.

Strażacy koncentrują się na ochronie tych budynków, do których ogień dopiero się zbliża. Te objęte przez płomienie spisywane są na straty, tak dom stracił jeden ze strażaków ochotników, który bronił budynku sąsiadów i tylko obserwował, jak jego własny zamienia się w pogorzelisko. O tyle spokojniej, że zawczasu zapewnił rodzinie i swoim zwierzętom bezpieczne schronienie, wyniósł też przedmioty mające dla niego największą wartość. Właśnie dyscyplinie społeczeństwa, zaangażowaniu ochotników i sprawności służb planujących ewakuację przypisuje się to, że rozmiary tragedii nie są większe.

Falę gniewu wywołała za to postawa premiera Scotta Morrisona. Jego ideologiczni przeciwnicy wytykają mu forowanie

australijskiej branży węglowej i wątpliwości – na które eksperci łapią się za głowy – by krajowe emisje (1,3 proc. globalnych) przekładały się na zmianę klimatu i obecną falę pożarów. Ale nawet zwolennikom trudno obronić wakacje, na które premier wybrał się w grudniu, przy okazji których przedstawił własną wersję o wysłaniu żołnierzy do grabienia liści. Objaśniał, że pojechał na Hawaje, by łapać równowagę między życiem osobistym a pracą, na dodatek pożary trwają od września, ich gaszenie to działka stanowych straży pożarnych, więc rząd federalny nie musi się angażować, a on nie będzie uzależniał swojego postępowania od czyjejś paniki.

Morrison skrócił urlop, dodał, że „czasami wszyscy możemy podejmować lepsze decyzje”, a na początku roku odwiedził spalone miasteczko Cobargo w Nowej Południowej Walii, skąd słowami „jesteś idiotą” i „wynoś się” przegnali go rozżaleni mieszkańcy. Premier próbuje ratować poderwany autorytet ewolucją poglądów w sprawie klimatu, przełożył planowaną na koniec stycznia wizytę w Indiach i negocjacje taryf celnych korzystnych dla australijskich producentów węgla.

Austria jako wzorzec?

Trzy miesiące po wyborach parlamentarnych Austria ma nową koalicję, która w Unii budzi powszechne zainteresowanie. **Sebastian Kurz**, 34-letni dziś szef Austriackiej Partii Ludowej (ÖVP), rok temu był kanclerzem podejrzliwie traktowanej koalicji z narodowcami, a teraz staje się nadzieją otwierania się zmodernizowanych chadeków na sojusz z ekologami. Obejmując w 2017 r. ÖVP, Kurz szybko dokonał w partii pokoleniowego przewrotu i demonstracyjnie odrzucił tradycyjne barwy chadecji. Kojarząc się z sutanną czerni zastąpił turkusem – hołskopowym kolorem optymizmu i wiary w przyszłość. Po aferze podsłuchowej, która zdyskredytowała szefa FPÖ, zerwał z nimi koalicję, oddając na kilka miesięcy władzę rządowi ekspertów. Wrześniowe wybory wygrał w cuglach 37,5 proc. – i bez wahania zawarł koalicję z Zielonymi, którzy w 2017 r.



wygrali wybory prezydenckie, ale z kretesem przegrali parlamentarne. Wrócili dopiero we wrześniu 2019 r. z 13,9 proc. głosów – deklarując socjaldemokratów.

Itak oto w liczącej 320 stron umowie koalicyjnej Kurz podpisał program cyrkowego szpagatu. Zieloni i ich szef **Werner Kogler** będą obsługiwać wyborców

lewicowo-ekologicznych, a turkusowi – narodowo-autorytarnych. Ryzyko jest oczywiste – dotychczasowe wielkie koalicje chadeków z socjaldemokratami opierały się na wspólnych wartościach centrowych. Koalicja z FPÖ była jednoznacznie prawicowa. Natomiast obecna musi być pragmatyczna i codziennie uciierać kulturowe kanty jednej i drugiej strony. Zieloni otrzymali dowartościowane ministerstwo ochrony środowiska i sprawy socjalne. Natomiast turkusowi – finanse, gospodarkę i kwestie bezpieczeństwa. Hasłem turkusowych jest zmiana, a zielonych – większe prześwietlanie państwa niż obywatela.

„Nowy układ sił w Wiedniu – wzdycha komentator monachijskiej „Süddeutsche Zeitung” – może zmienić nie tylko Austrię, ale stać się także wzorcem na przykład dla Niemiec po zakończeniu ery Merkel. W gminach i landach chadecy z CDU już współrządzą z Zielonymi, ale jeszcze nie w rządzie federalnym”.

Rosja szuka złego

Prof. Adam Daniel Rotfeld o imperialnej strategii Putina, skomplikowanych stosunkach rosyjsko-polskich i ciężącej na nich wielowiekowej historii.

JACEK ŻAKOWSKI: – W co gra Putin?

ADAM DANIEL ROTFELD: – W dużą grę.

To nie jest doraźne?

Nie. To nie przypadek. To nie emocjonalna reakcja. Nie jest to taktyczne przygotowanie do żadnego zdarzenia.

Zatem strategia?

Sięgająca XVII w., od kiedy Polska zaczęła być postrzegana jako ważny element zachodniego zagrożenia dla Rosji.

Dalszy ciąg kampanii, której ostatnia faza zaczęła się w 2007 r. słynnym filmem „1612” pokazującym wygnanie Polaków z Kremla?

W ramach historycznej imperialnej strategii zawieszona na krótko przez Lenina. Putin idzie stalinowskim tropem, odbudowując potęgę rosyjskiego państwa opartą na tradycji sięgającej XVII w. Dlatego Święto Jedności, którym zastąpił rocznicę rewolucji, przypada 4 listopada – w rocznicę wygnania Polaków z Kremla.

Czyli Timothy Snyder ma rację, że antypolonizm jest sięgającym głęboko w historię, filozofię i tożsamość rosyjską korzeniem polityki Putina, a nie tylko prostym mobilizacyjnym narzędziem dyktaturki.

To jest bardzo głębokie. W Zagorsku, stolicy prawosławia, która dziś znów nazywa się Siergijew Posad, widziałem obelisk. Na jego czterech ścianach wyryto cztery największe nieszczęścia, które spotkały Rosję. Pierwszego Rosjanie doznali od Tatarów. Następnych trzech od Polaków.

Co poza 1612?

Wcześniej Maryna Mniszchówna różnymi fortelami osadziła na tronie Dymitra Samozwańca i została carycą. U nas mało kto to pamięta. A dla Rosjan to jedno z największych upokorzeń w historii. Stąd historycznie utrwalony obraz Polaków jako ludzi, którzy wiecznie knują.

A po 1612?

Rozbiory.

Rozbiory to polska krzywda, nie rosyjska.

W rosyjskiej narracji Katarzyna musiała bronić prawosławia przed presją katolicko-unicką, żeby wspierane przez Rzeczpospolitą papieżstwo nie osłabiało moskiewskiej Cerkwi prawosławnej. Pierwsze dwa rozbiory to w rosyjskiej opowieści obronna wojna religijna. Ich pamięć historyczna widzi w Polsce forpocztę agresywnego Zachodu – obcej, łacińskiej cywilizacji.

To się nie trzyma kupy, że Rosjanie mają do nas pretensje o rozbiory.

W stosunkach między Polską a Rosją kultura, emocje, sprawy ducha mają większe znaczenie niż sprawy materialne. Ale na razie mówimy o stanie emocji w XVIII w. A potem była przecież klęska 1920 r., która w rosyjskiej pamięci też jest obrazą i upokorzeniem.

Znów absurd.

Mówimy o emocjach budujących tożsamość nie tylko społeczeństw, ale także państw. W Rosji to są operacje na najwyższych szczeblach politycznej strategii. Rosyjski oryginał dzielącej Polskę mapy podpisanej przez Stalina i Ribbentropa był przez wiele lat uważany za zaginiony. Znalazł się nie w archiwach państwowych czy w MSZ, tylko w dokumentach wywiadu zewnętrznego. Bo cała operacja dotycząca paktu Ribbentrop-Mołotow była realizowana przez wywiad, nie przez dyplomację. Mołotow tylko wykonywał polecenia Stalina, który zgodnie z carską tradycją przywracał „utracone ziemie” imperium.

Nawet uzasadnienie inwazji 17 września było niemal identyczne jak w przypadku dwóch pierwszych rozbiorów.

To pokazuje, jak bardzo istotne w rosyjskiej polityce są ciągłość i tradycja.

Ale w wielkiej strategii, o której pan mówi, atak Putina na Polskę mógł zdarzyć się rok wcześniej albo rok później, a z jakiegoś powodu zdarzył się teraz.

W rosyjskiej tradycji rocznice mają niezwykłą wagę. Na horyzoncie jest 75-lecie wyzwolenia Auschwitz. Z okazji 60. rocznicy Putin i inni przywódcy przyjeżdżali do Oświęcimia. Tym razem

– jak przypuszczam – z inspiracji Putina, którego nie zaproszono do Polski, obchody odbędą się w Yad Vashem. Putin załatwił to pewnie ze swoim przyjacielem Bibi Netanjahu. Nawet kiedy pozornie się cofa, to jednocześnie w innym miejscu stawia krok do przodu. Kiedy w 2009 r. na Westerplatte brał udział w obchodach wybuchu drugiej wojny światowej, w Moskwie nadano rozgłos prezentacji zbioru dokumentów pod tytułem „Sekrety polskiej polityki”. Bo dla Putina przyznanie, że druga wojna nie zaczęła się 22 czerwca 1941 r., lecz 1 września 1939 r. od wspartej przez ZSRR niemieckiej agresji na Polskę, było niezwykle trudne. W Gdańsku uznał ten fakt, a w Moskwie mu zaprzeczył ustami swoich podwładnych ze Służby Wywiadu Zewnętrznego RF, którzy ujawnili perfidną rolę Polski, tak zakamuflowaną, że nasze „spiskowanie” z Hitlerem zakończyło się napaścią Niemiec na nasz kraj.

Teraz idzie dalej.

Ale tą samą drogą. Po dorocznej konferencji prasowej na Kremlu zebrał w Petersburgu prezydentów Wspólnoty Niepodległych Państw i zaprezentował im wykład, zgodnie z którym Polska zawarła porozumienie z Niemcami, zanim Stalin dogadał się z Hitlerem. Zapomniał dodać, że dwa lata przed paktem o nieagresji z Niemcami Polska zawarła taki sam pakt z Moskwą. Bo fundamentem polskiej polityki było utrzymanie równego dystansu wobec dwóch wielkich sąsiadów.

Putin rutynowo kłamie. Ale prawda też nie jest dla nas miła.

Wtedy się wydawało, że leżymy między groźnymi mocarstwami, a dziś wiemy, że tkwiliśmy między zbrodniczymi totalitaryzmami. To jednak nie sprawia, że mniej paskudny staje się fakt, iż ambasador Lipski chciał polskich Żydów wysłać na Madagaskar i w tej sprawie współpracować z Hitlerem. Nasza bezrefleksyjna obrona ówczesnej polskiej polityki brzmi dla mnie fałszywie. Tamten rząd robił złe rzeczy, których mamy powody się wstydzić, bez względu na to, z jakich przyczyn i na ile fałszywie przypomina to Putin. Nie mam najmniejszej ochoty bronić Lipskiego przed Putinem.

Nie ma dowodów na to, że Lipski był antysemitą [sylwetka Lipskiego na s. 50]. Natomiast jest wiele świadectw, że polscy dyplomaci, a w szczególności konsulowie w różnych krajach, jak choćby ojciec Zbigniewa Brzezińskiego w Kanadzie czy konspiracyjna grupa w polskim poselstwie w Bernie, uczynili wiele, by ułatwić wyjazd Żydom z Generalnej Guberni i innych obszarów okupowanych przez III Rzeszę. Ciekawe dokumenty wydobyl ostatnio ambasador Polski w Szwajcarii Jakub Kumocho. To, że Polska starała się w Lidze Narodów o powiernictwo na Madagaskarze, nie było tajemnicą. Miało realizować dosyć infantylne oczekiwania, byśmy dołączyli do grona mocarstw kolonialnych.

Sanacyjna wersja pisowskich mrzonek o Międzymorzu.

Ale przypisywanie Lipskiemu współpracy z Hitlerem w sprawie Holocaustu jest całkiem bezzasadne i niesprawiedliwe. W 1938 r. Hitler chciał wygnać Żydów z Niemiec. Nikt nie mówił wtedy o wymordowaniu narodu. Nie wolno ówczesnych dyplomatów oceniać oczyma ludzi mających dzisiejszą wiedzę. Polski rząd szukał rozwiązania sprawy żydowskiej. Żadne nie było dobre, a konflikt narastał. Stąd pomysł z Madagaskarem, który dziś wygląda kabaretowo.

Bo się kojarzy z Maurycym Beniowskim, królem Madagaskaru, którego romantycznie opisał Słowacki, a polscy inteligenci się tego nacztyli i dostali mąlpiego rozumu. Czy to nie jest przynajmniej wstydlawa historia polskiej polityki?

Lipski chciał tylko, by Niemcy poparły nasz wniosek w Lidze Narodów. Pewnie wielu polskich ambasadorów prowadziło takie rozmowy w stolicach Europy.

Na ścianach obelisku w Zagorsku wyryto cztery największe nieszczęścia, które spotkały Rosję. Pierwszego doznała od Tatarów. Następnych trzech od Polaków. Ten uraz jest bardzo głęboki.

To nie jest powód do dumy i nie ma powodu tej polityki bronić.

Ale nie ma też powodu przyjmować bezkrytycznie reprimendy ze strony tych, którzy rehabilitują Stalina – wodza państwa, w którym istniał państwowy antysemityzm. Tuż po rozpadzie ZSRR były pracownik archiwum KPZR Gienadij Kostyrzenko opublikował monografię pt. „W niewoli Czerwonego Faraona” i kilka innych książek dokumentujących oficjalny antysemityzm w ZSRR. Państwowy antysemityzm, za którym szły czystki i represje, obejmował wszystkie obszary życia: medycynę, wojsko, prasę, film, teatr, literaturę. W czasie wojny Stalin zabiegał, by organizacje żydowskie

podjęły starania o amerykańskie wsparcie. Posłał do USA delegację Antyfaszystowskiego Komitetu Żydów, która wykonała z sukcesem zadanie, a następnie cała delegacja i kierownictwo tego Komitetu zostały rozstrzelane. Ta polityka miała korzenie w carskiej Rosji. Słowo „pogrom” pochodzi przecież z rosyjskiego. Bo w Rosji od rządów Piotra Stołypina, premiera w czasach Mikołaja II, którego w dzisiejszej Rosji uważa się za wzór do naśladowania, zjawisko tolerowanego i wspieranego antysemityzmu trwało nieprzerwanie do lat powojennych. A od czasów Katarzyny Wielkiej Żydzi mogli mieszkac tylko w guberniach na terenach dawniej należących do Polski.

W sprawie antysemityzmu nikt w Europie nie ma czystego sumienia. Ale w Rosji to jest szerszy problem. Poza antysemitami były też m.in. stalinowskie czystki antypolskie.

Stosunek Rosjan do Polaków jest dwoisty. Poza antypolską fobią jest też autentyczna fascynacja polskością. Przekonanie, zwłaszcza wśród inteligencji, że Polacy są arystokratami ducha, że jesteśmy romantyczni, że polska poezja, literatura, muzyka jest europejska w najlepszym sensie tego słowa. Jeszcze w głębokim PRL zaprosiłem rosyjskiego gościa do Hotelu Europejskiego. Zasiadliśmy przy stoliku nakrytym wykrochmalonym obrusem, w kącie grał pianista, kelner w smokingu delikatnie zebrał okruszek ze stołu, a mój gość zamyślił się i mówi: „Wot Jewropa!”. Te fascynacje i fobie nie są jednoznaczne i proste.

Z jednej strony ponadczasowa, imperialna strategia i nieufność, z drugiej ciekawość i czasem fascynacja, a wszystko to pokręcone i głębokie jak słowiańska dusza. Teraz górę bierze strategia?

Bo w sprawach międzynarodowych ważny jest strategiczny moment. Putin gra o pozycję mocarstwa globalnego i otwiera nowy etap rosyjskiej strategii. Mając imperialne ambicje, nie może jako spoiwa używać etnicznego nacjonalizmu. Imperium jest wielonarodowe. Musi łączyć żyjące zgodnie narody. Inaczej się rozpadnie.

ZSRR chciał stworzyć beznarodowego człowieka sowieckiego i to się nie udało.

Dlatego spoiwem nowego imperium miała stać się Cerkiew prawosławna. Tak jak w carskiej Rosji połączona ze współczesnym samoderżawiem. To się nie udało. Cerkiew nie odzyskała społecznej pozycji. Autokefalia i oderwanie się Cerkwi ukraińskiej od Moskwy było dla rosyjskiej strategii aktem dramatycznym, bo Ukraińcy są dużo bardziej przywiązani do wiary niż ludzie w Rosji. Moskiewski patriarchat stracił najwierniejszych wiernych, więc upadło marzenie o Cerkwi jako spoiwie. Teraz spoiwem jest tylko mit założycielski w postaci zwycięstwa nad zachodnim złem uosobionym przez III Rzeszę. Hitlerowski faszyzm to zło od wieków idące z Zachodu, Armia Czerwona to dobro odwiecznie broniące Wschodu, ZSRR był niepokalany, Stalin był półbogiem podobnie jak Piotr Wielki, a Gułag to sprawa wewnętrzna, od której obcym wara i o której już nie warto mówić. W tym micie mają się odnaleźć wszystkie narody dawnego ZSRR, a dziś WNP. ►

► Tu wraca paralela między 1612 a 2019?

W pewnej mierze.

A żeby wszystko się w tej nowej narracji zgadzało, Polska musi być winna drugiej wojny, tak jak była winna Wielkiej Smuty? Snyder fantastycznie opisał to nawrotowe krążenie historii w narracjach nowych autorytarystów.

To jest projekt na pokolenia. Każda rocznica będzie kolejnym krokiem w tę stronę.

Pan jest wybitnym ekspertem, więc musi pan to rozumieć. Ja przeczytałem Snydera i parę innych rzeczy, więc też to rozumiem.

Co takiego jest w polskich politykach, że tego nie rozumieją i wciąż dorzucają paliwo do rosyjskiej strategii? Bo wiadomo, że kiedy premier składa hołd Brygadzie Świętokrzyskiej, kiedy PiS uchwała taką ustawę o IPN, kiedy nie zapraszamy Putina na rocznicę Auschwitz, Putin dostaje dzokery, którymi kiedyś zagra. Z czym my mamy problem?

Nie z samowiedzą. W Polsce powstała ogromna literatura pokazująca prawdę o naszej przeszłości. Ostatnio „Lwów. Kres iluzji” Grzegorza Gaudena. Takich książek jest wiele.

Ale na słowa Putina reagujemy ponad podziałami jak nożyce po uderzeniu w stół.

W najpoważniejszych sprawach brakuje nam ciągłości działania. Każda ekipa zaczyna myśleć i działać od nowa. Jakby poprzednicy niczego nie osiągnęli i niczego do naszej państwowości nie wnieśli. Gdy Putin zajął Krym, premier Tusk zwołał byłych prezydentów, premierów i szefów opozycyjnych partii, żeby wspólnie pomyśleć, co z tego wynika dla Polski. Kilka dni później prezydent Komorowski zwołał w tej sprawie Narodową Radę Bezpieczeństwa uzupełnioną o byłych premierów i prezydentów. Serce mi rośnie, kiedy Włodzimierz Cimoszewicz przedstawił swoją koncepcję możliwych reakcji, a siedzący obok Jarosław Kaczyński zaczął od tego, że zgadza się z Cimoszewiczem. Było tak, jak być powinno w każdym poważnym państwie, gdzie poważni ludzie poważnie rozmawiają o poważnej sprawie. Dlaczego tak się nie dzieje? Dlaczego ta władza jest na własne życzenie samotna nie tylko w kraju, ale też za granicą?

Ambasadorzy różnych państw bronią teraz Polski.

To dobrze. Ale mało. Zresztą nie warto się łudzić, że jakieś reakcje zmieniają rosyjską strategię.

Nie warto reagować?

Trzeba reagować i oczekiwać reakcji sojuszników. Rosja musi wiedzieć, że Europa stoi za nami murem – nie dlatego, że jesteśmy bez skazy, tylko dlatego, że Europa pamięta, jak się skończyło tolerowanie w latach 30. praktyk, które należało ukrócić.

Zachód tego nie wie?

Wie, ale pamięć historyczna jest krótka, a o wsparcie sojuszników trzeba dbać i zabiegać. Kiedy w kwietniu 2005 r. na Radzie Europejskiej Jacques Chirac powiedział, że dalsze rozszerzenie będzie zbyt kosztowne, premier Belka oświadczył, że wobec tego Polska ze swojej puli odda miliard euro na rzecz nowych członków. Po nim premierzy z naszego regionu złożyli podobne deklaracje. Chirac zareagował słowami: „Przepraszam – dostałem lekcję europejskiej solidarności”. A dwa dni później Javier Solana powiedział mi: „Teraz jesteście na ławce, gdzie dotąd siedziało pięciu. Muszą zrobić miejsce dla szóstego”. Straciliśmy tę pozycję. Dlatego reakcje są na niskim szczeblu.

Bardziej martwi mnie to, że w patriotycznym wzmożeniu po napaści Putina gubimy dorobek ostatnich 20 lat w urealnianiu własnego wizerunku. Czujemy się zmuszeni, by odpowiadać nie wiedzą, ale polityką historyczną. To ma krótkie nogi.

Putin zapewne chciałby, żeby Polska – jak kiedyś Finlandia – zrezygnowała z podmiotowości i byśmy przyjęli postawę podobną do postawy węgierskiego premiera Viktora Orbána.

Traktuję to jak ostrzeżenie. Nie musimy tak robić. Powinniśmy być aktywni, a nie reaktywni...

Tak nam wychodzi.

Może dlatego, że w słowach Putina nie wszyscy widzą wyraz jego słabości. Stosunek Polaków do Rosji i Rosjan jest ambiwalentny. Z jednej strony wierzymy, że to my reprezentujemy wysokie wartości, a z drugiej dominuje przekonanie, że Rosja jest skuteczna i silniejsza. Wiele razy słyszałem ostatnio, że Rosjanie mają wspaniałą dyplomację. To jest nieporozumienie. Mają wybitnych, ale też miernych dyplomatów. Jak wszyscy. Ale Rosja ma konse-

kwentną politykę zagraniczną. Ta ciągłość daje jej przewagę nad nami. W warunkach nieciągłości trzeba mieć dużo odwagi, żeby być konsekwentnym choćby w ocenie przeszłości. Miał ją Lech Kaczyński, kiedy 1 września 2009 r. powiedział, że zajęcie Zaolzia było błędem i za to przeprasza. Tej linii trzeba się trzymać, a to jest trudne w obliczu napaści Putina.

W 2009 r. Rosjanie mówili o swoich grzechach, a Polacy o swoich. To się odwróciło. Putin wybiela Rosję, a my wybielamy Polskę. Wpadamy w spiralę politycznego fałszu, z którego Rosja buduje swoją strategię. Marnujemy dorobek.

Ale są też w Rosji ludzie odważni i krytycznie myślący. Andriej Kolesniczenko opublikował w wielkonakładowym dzienniku „Kommiersant” rosyjski wariant tego, co pan mówi. Podobnie Julia Łatynina. Napisali, że bezwstydne jest porównywanie Polski do hitlerowskich Niemiec. Po drugiej stronie nadal są ludzie, którzy chcą bronić historycznej prawdy. To ważne. Bo Zachód potrzebuje Rosji na wypadek konfliktu z Chinami. Dlatego Macron i Trump szukają zbliżenia z Putinem. Nikt nie chce polsko-rosyjskiej awantury, więc nie warto dawać się w nią wciągać.

Mieliśmy falę szlachetności, kiedy każdy mówił o swoich grzechach. Teraz mamy regres. Każdy mówi o grzechach drugiego. To eskaluje napięcia. Co z tym zrobić?

Jesteśmy w procesie szukania tożsamości państwowej. Państwa narodowe mogą się definiować tradycją etniczną. A Rosja ma problem, bo jest wielonarodowa. Musi się definiować przez kontrast z otoczeniem, czyli ciągle definiowanie wroga.

„Państwo rosyjskie jest dobre, a inne państwa są złe”?

Kamieniem węgielnym imperium ma być zwycięstwo nad hitlerowskim złem. Putin musi pokazać Rosjanom złego. Nie chce wskazywać go w Niemczech, bo są mu potrzebne. A Polskę najwyraźniej zaliczył do państw, które się do takiej roli nadają. To nie jest żaden sekret. W poważnym periodyku „Politdeskij klas” Jurij Sołozobow 10 lat temu napisał ogromny artykuł pod tytułem „Odpowiedź na sprawę polską”. Kluczowe zdanie brzmiało: „Dla Rosji program maksimum – to finlandyzacja całej Europy”. Na pierwszy ogień mają iść sąsiedzi: Finlandia, Polska, kraje bałtyckie, Kazachstan, Turcja, Iran i „bezwzględnie Ukraina”. Problem logiki imperialnej na tym właśnie polega, że państwo narodowe może być narodowe i niczego nie musi zagarniać, a imperium musi się rozszerzać. Inaczej zostanie rozsądzone od wewnątrz.

To czego Putin od nas chce?

Zapewne chciałby, żebyśmy – jak kiedyś Finlandia – zrezygnowali z ambitnej podmiotowości i byśmy przyjęli postawę podobną do postawy węgierskiego premiera Viktora Orbána.

Jak Królestwo Polskie przed 1830 r.?

Może z większą samodzielnością – na miarę wymogów XXI w. Ale z ograniczeniem roli samodzielnego aktora na scenie politycznej.

ROZMAWIAŁ JACEK ŻAKOWSKI

Prof. Adam Daniel Rotfeld – minister spraw zagranicznych w rządzie Marka Belki; współprzewodniczący Polsko-Rosyjskiej Grupy ds. Trudnych (2008–15).